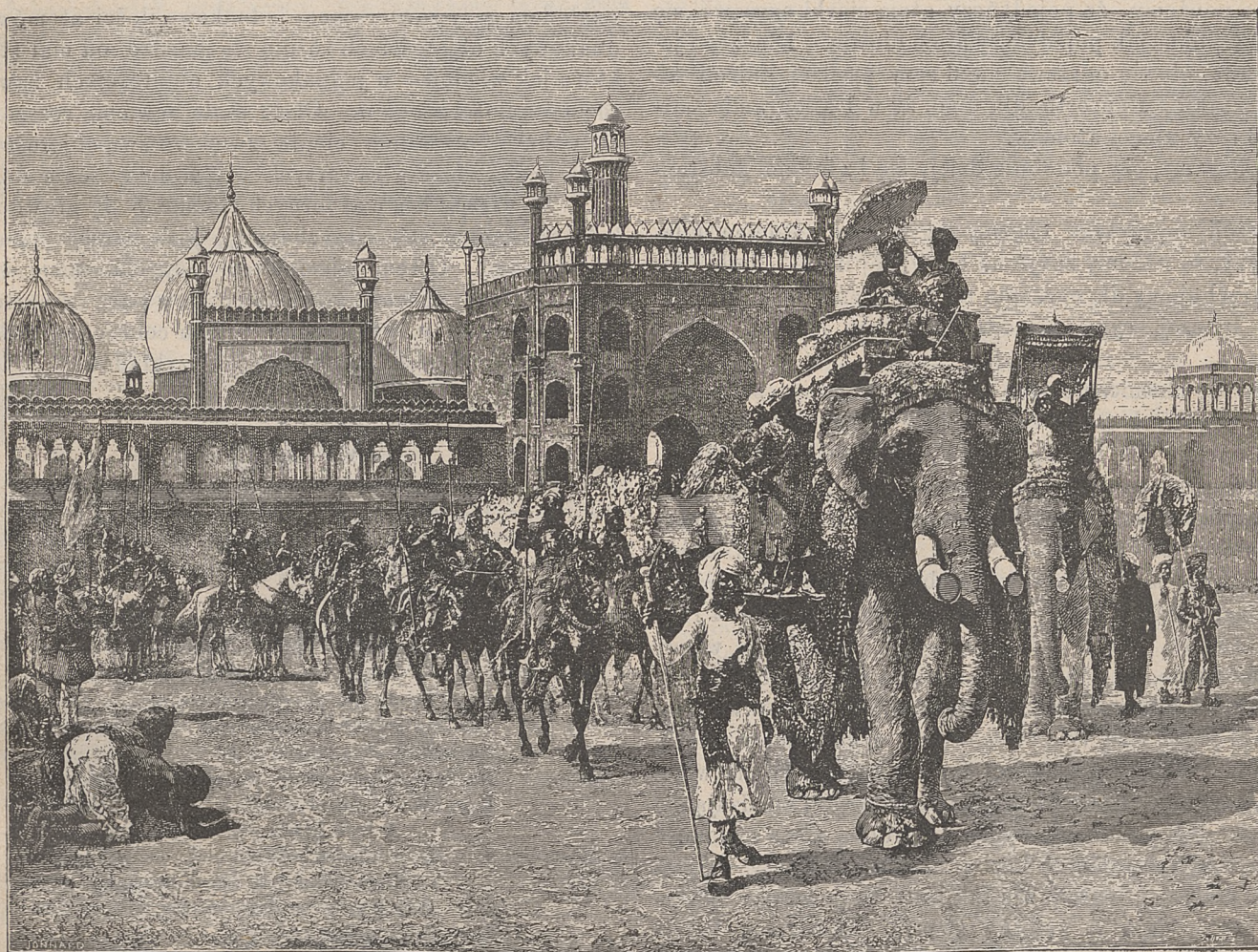




WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.



Wyjazd maharadży indyjskiego (str. 375).

Pogadanki z dziedziny chemii.

XX. Jak się ogrzewają ciała i jak się ogrzewają atomy.

W przytoczonych przykładach widzieliśmy, że ołów ogrzewa się najprędzej o pewną liczbę stopni i pod tym względem przewyższa on siarkę 6 krotnie.

Skąd to pochodzi? Nauka daje na powyższe pytanie następującą odpowiedź!

Chemia uczy nas, że chcąc połączyć ołów z siarką trzeba brać na każde 1293 części wagowe ołowiu 200 części wagowych siarki, to znaczy mniej więcej 6 razy tyle ołowiu, aniżeli siarki.

Z drugiej strony jednak wiemy, że jeden atom ołowiu łączy się z 1 atomem siarki, z tego wypływa, że 1293 kilogramów ołowiu zawierają tyleż pojedynczych atomów, co 200 kilogramów siarki, albo inaczej, że w 1 kilogramie ołowiu jest 6 razy mniej atomów, aniżeli w 1 kilogramie siarki. Jeżeli więc chcemy ogrzać 1 kilogram ołowiu i 1 kilogram siarki na 1 stopień, to musimy w kilogramie siarki ogrzać 6 razy więcej atomów, aniżeli w kilogramie ołowiu. Dla tego też musimy ogrzewać siarkę 6 razy dłużej, aniżeli ołów.

Jeżeli zechcemy wyrazić się w sposób bardziej zrozumiały, to powiemy, że pojedynczy atom siarki ogrzewa się również szybko, jak pojedynczy atom ołowiu. Dlaczego jednak 1 kilo. ołowiu ogrzewa się 6 razy prędzej, aniżeli kilogram siarki? Poprostu dla tego, że w 1 kilogramie siarki jest 6 razy więcej atomów.

Zobaczymy, czy podobnie dzieje się i z innymi substancjami?

Jeżeli naprzykład chcemy ogrzać na 1 stopień kilogram cyny, to musimy zużyć na to $\frac{1}{4}$ tej ilości ciepła, jakiej potrzebujemy dla ogrzania na 1 stopień kilograma siarki czyli inaczej, cyna ogrzewa się 4 razy łatwiej, aniżeli siarka.

Łącząc chemicznie cynę z siarką widzimy, że na każde 737 wagowych części cyny należy wziąć 200 części wagowych siarki. To nas upoważnia, do wniosku, że 737 kilogramów cyny zawiera tyleż atomów, co 200 kilogramów siarki, czyli, innymi słowy, 1 kilogram siarki zawiera 4 razy tyle atomów co kilogram cyny. Ponieważ zaś każdy atom ogrzewa się jednakowo szybko, przeto ogrzewanie siarki musi trwać 4 razy dłużej, gdyż zawiera ona 4 razy więcej atomów, niż 1 kilogram cyny. O żelazie wiemy z doświadczenia, że 1 jego kilogram dwa razy prędzej ogrzewa się od kilograma siarki. Z tego wypada, że w kilogramie siarki jest 2 razy tyle atomów, co w kilogramie żelaza.

Otóż możemy zapewnić czytelnika, że: po pierwsze, liczby otrzymane przez badaczy jeszcze lepiej zgadzają się ze sobą, aniżeli podaliśmy wyżej, po drugie, że ta zgodność pomiędzy ogrzewaniem a liczbą atomów dotyczy wszystkich ciał stałych. Jeżeli zaś tak jest, to powyższe obserwacje stwierdzają w świetny sposób twierdzenia teorii atomistycznej.

Wprawdzie zgodność ta odnosi się tylko do ciał stałych; nie dotyczy zaś gazów, które ogrzewają się nie w tym stopniu, jakby tego wymagało powyższe prawo. Ale ściśle badania pozwoliły nam wykryć bardzo ważne prawo, dotyczące gazów i będące także potwierdzeniem teorii atomów.

Jak wiadomo 12 $\frac{1}{2}$ gramów wodoru łączy się ze 100

gramami tlenu, to znaczy, że każdy gram wodoru potrzebuje 8 gramów tlenu, ażeby wytworzyć wodę; na zasadzie tego, cośmy wyżej powiedzieli 1 gram wodoru powinienby zawierać 8 razy tyle atomów, co gram tlenu.

Gdyby tak było, ciepłojemność wodoru powinna być 8 razy większą od ciepłojemności tlenu. Doświadczenie uczy jednak, że 1 gram wodoru ogrzewa się nie 8, ale 16 razy wolniej i że przeto w 1 gramie wodoru znajduje się 16 razy więcej atomów aniżeli w gramie tlenu. Ponieważ zaś 12 $\frac{1}{2}$ gramów wodoru łączy się zawsze ze 100 gramami tlenu na wodę, przeto w owych 12 $\frac{1}{2}$ gramach wodoru znajduje się dwa razy tyle atomów co w 100 gramach tlenu. Dochodzimy przeto do godnego uwagi rezultatu. Mianowicie, że atom wodoru, tworzący z tlenem wodę, składa się właściwie z 2 atomów czyli że jest podwójnym. Zgadza się to w uderzający sposób z faktem, że do wytworzenia wody potrzeba 2 objętości wodoru na 1 objętość tlenu. Liczba atomów jest przeto w każdej objętości danego gazu jednakowa; badania dowiodły, że podobnie dzieje się ze wszystkimi znanymi gazami, to jest, że jednakowe objętości gazów zawierają zawsze jednakowe ilości atomów.

Fakt, że lotne ciała w jednakowych objętościach zawierają jednakowe ilości atomów stosuje się tylko do jednakowego ciśnienia i jednakowej temperatury. Pod tym względem gazy zawierające jednakowe ilości atomów w jednakowych objętościach różnią się bardzo od ciał stałych, które jak wiadomo w jednakowych objętościach zawierają rozmaite ilości atomów. Ciało stałe bowiem, rozszerzając się wskutek działania ciepła zwiększa swą objętość a jednak liczba atomów zawartych w nim nie zmienia się.

Ta właściwość ciał lotnych tłumaczy się prawdopodobnie działaniem siły odpychającej, jaka istnieje pomiędzy ich atomami. O tem tajemniczym odpychaniu się w gazowych ciałach chcemy powiedzieć słów parę w następującym rozdziale, a wybierzemy w tym celu jeden z najbardziej interesujących, pouczających przykładów.

Wi. U.

Waga.

Jest waga na niebie wielka,
A przy niej anioł na straży,
Anioł na ziemię spogląda
I ciągle waży, a waży.

— Kto cię postawił tam w górze,
Co ważysz? powiedz aniele.
— Bóg mnie postawił, a ważę,
Komu na przypaść lez wiele.

Pustotę, śmiechy, szyderstwa,
Na jednej układam szali;
Na drugiej gromadzę w urnie
Łzy, które smutni wylali...

— A jeśli która przeważy,
Co robisz wtedy aniele?
— Gdy radość, to łez dorzucam,
Gdy łzy — to daję wesele.

Bo jedni z ciągłą tęsknotą
Zdążają życia koleją,
Inni w niebaczonej radości
Z siebie i świata się śmieją.

Nie wiedzą oni, że kiedyś
Waga się w niebie przechyli
I cieszyć się będą smutni,
Smucić — ci, co się cieszyli...

Rossowski.

H. G. Wells.

PIERWSI LUDZIE NA KSIĘŻYCU.

Opracowała M. St.

(Dalszy ciąg.)

Chyba już nigdy nie ujrzymy prawdziwego światła dziennego, ni słońca, jak potępięcy aż do śmierci tułać się będziemy po tych przeklętych podziemiach!

Cavor milczał smutny, i on czuł się przygnębiony. Naraz spojrział na łańcuchy, które zabrałem, sądząc, że nam się przydadzą w naszej niebezpiecznej wędrówce, — łańcuchy i pika były ze złota.

Nie wierząc swoim oczom, (gdyż w poprzednim błękitnawem oświetleniu złoto miało jakąś inną barwę) spytałem Cavora, czy się nie mylę.

Popatrzał i rzekł obojętnie:

— Tak, to złoto, czyste złoto.

Podziwiałem jego filozoficzną obojętność w obec tej nowiny, która, co prawda, od razu zmieniła bieg moich myśli. Jaśniej zrobiło mi się na duszy, nie umiałbym sobie zdać sprawy dla czego, ale nadzieja, jak czarowna wróżka, ożywiła me serci i dodała energii do dalszego działania.

Jako człowiek praktyczny, nie żałowałem teraz, że przyjechałem na księżyc, i zadumałem się głęboko, jakimby sposobem jak najprędzej powrócić na ziemię.

Cavor przerwał moją zadumę.

— Mamy tylko dwie drogi przed sobą: wydostać się na powierzchnię, przebić się przez Selenitów, jeżeli ich spotkamy i odszukać naszą kulę, albo też raz jeszcze spróbować za pomocą kreślenia figur geometrycznych porozumieć się z nimi.

— Tylko pierwszą drogę uważam za praktyczną, druga do niczego nie doprowadzi.

— Pan za surowo sądzisz Selenitów, ci, których dotąd spotkaliśmy, to tylko niższe ich stany: pasterzy i robotników. Gdybyśmy mogli wyżyć dłuższy czas na księżycu, toby się o nas dowiedziały i wyższe klasy inteligentne, z którymi z pewnością porozumielibyśmy się za pomocą nauki.

— W teorii masz pan zawsze rację, ale przypuśćmy że tam w Angli w Lympne, gdzie pan pół życia spędziłeś zatopiony w badaniach naukowych, jednego pięknego dnia spadł z księżycy Selenita, mógłby on dziesięć razy umrzeć, zanimby pan wśród swych retort i aparatów dowiedział się o jego istnieniu.

— To prawda, ale tu noce są zimne, grozi nam śmierć z głodu lub mrozu, rzekł Cavor.

— A widzisz pan, Selenici są to istoty bardzo ograniczone, nie mogą pojąć, że my ich nie rozumiemy, i gdy nie robimy tak jak oni, to nas kłują dzidami, jak głupie odporne zwierzęta, a czyż możemy tak jak oni przechodzić nad przepaścią po desce sześć cali szerokiej, my ludzie z ciała i kości?

— Tak pan myślisz?

— Naturalnie, a później moglibyśmy zbudować daleko większą sferę, zebrać kilku ochotników, broń, i znów tu przyjechać, a wtedy nie obawialibyśmy się Selenitów.

— Dla moich badań naukowych, właściwie powinienem wybrać się sam na księżyc, rzekł Cavor jakby do siebie.

— No, już się stało, próżno tego żałować, pomyśl pan lepiej, jakby się tu wydostać z tej podziemnej pułapki.

Umilkliśny obadwaj, pogrążeni w myślach. Po chwili Cavor rzekł:

— Czujesz pan, jakby z góry wiatr zawiewał?

— Czuję.

— To znaczy, że jesteśmy niedaleko otworu jakiegoś krateru czy sztucznego szybu i trzeba piąć się w górę, a wyjdziemy na powierzchnię księżycy.

Naraz do uszów naszych doszedł odgłos szybkich kroków.

— Selenici nas gonią! — zawołał Cavor.

— To nic, nie domyślą się, gdzie jesteśmy.

Nagle jak błyskawica przebiegła mi przez głowę myśl, że kilka zniszczonych przeze mnie świecących grzybów wpadło przez szczelinę do szarej groty, gdy Selenicy tam przyjdą, poznają w którą poszliśmy stronę, a że zapewne dobrze będą uzbrojeni tym razem, więc źle może być z nami.

— Marsz w górę, uciekajmy na powierzchnię, to jedyny ratunek.

Schyliłem się i szybko zabrałem dwa grzyby, aby nam przyświecały w ciemnościach, wsadziłem w zewnętrzną kieszeń mej flanelowej kurtki i podążyłem za Cavorom, który bardzo chyżo zaczął drapać się w górę. Odgłos kroków przycichł, czasem mignęło nam znane już błękitnawe światło, czasem doszedł z boku szmer ciekącej wody, a my piełiśmy się ostrożnie coraz wyżej i wyżej, aż doszliśmy do jakiejś mocnej kraty, przed którą zmuszeni byliśmy zatrzymać się.

Ciemno tam było, i tylko w głębi obszernej groty błyszczało niebieskawe światło. Przysunęliśmy się do samej kraty, ale nic nie było widać, bo otwór był w niższym końcu jaskini; widzieliśmy tylko liczne, poruszające się cienie, słyszeliśmy piszczącą mowę Selenitów i regularnie powtarzający się odgłos jakby uderzeń szpadla o jakąś miękką masę.

— Co oni tu mogą robić? Bo widocznie coś robią, — szepnąłem do Cavora.

— Nie wiem co robią, ale to wiem, że nas nie szukają, — odszepnął. Ja tymczasem obnacawszy kratę, przekonałem się, że była zrobiona z cienkich metalowych prętów.

— Można ją wyłamać, — rzekłem cichutko. I natychmiast, oparłszy się mocno nogami o skałę sterczącą z boku, ująłem silnie dwiema rękami jeden z prętów i szarpnąłem nim silnie.

Wyłamał się od razu, wtedy dwa obok będące, powyginałem tak, że utworzyło się przejście. Przecisnąłem się z łatwością i posunąłem naprzód ostrożnie; aby mnie zaś nie dostrzeżono, położyłem się, żebym sam nie widziany, mógł dobrze obserwować, co się dzieje w drugim, wyższym końcu jaskini. Cavorowi dałem znak ręką, by uczynił to samo.

Leżeliśmy jeden obok drugiego, zapatrzeni na scenę odgrywającą się przed nami. Wzdłuż obszernej groty leżało kilkanaście zabitych ogromnych tych zwierząt, których stado spotkaliśmy na początku naszej wędrówki, przy każdym stało po kilku Selenitów i siekierami rozrąbawali ogromne ich cielska. Te właśnie uderzenia słyszeliśmy z daleka.

Ta obszerna jatka i duża ilość mięsa dały nam pojęcie, że księżyc jest licznie zaludniony, kiedy zatrudnia tylu rzeźników. Nagle szmer jakiś dał się słyszeć za kratą, wstrzymałem oddech i usłyszałem wyraźnie, że ktoś piął się po skałach. Zerwałem się co żywo i stanąłem przy otworze w obronnej postawie. W tem błysnęło coś w ciemności a ja uczułem lekki ból w ramieniu. Porwałem złotą selenicką dzidę i na oślepie przez kratę zacząłem szybko klucz zaledwie rysującą się postać. Cavor walczył obok mnie w ten sam sposób.

Hałas walki zwrócił na nas uwagę rzeźników. Naraz złota siekiera, rzucona przez jednego z nich, świsnęła mi nad głową i utkwiała w skale. Odwróciłem się w stronę jatki, wszyscy rzeźnicy potrząsając siekierami szli na nas. Byliśmy wzięci we dwa ognie.

— Cavorze — zawołałem wielkim głosem, — pilnuj kraty, ja rozprawię się z rzeźnikami.

I poskoczyłem ku nim, wywijając długą dzidą, zdoby-

„Do pow. Pierwsi ludzie na księżycu”



Szybko podążyłem w górę za Cavorem.

z siebie flanelową kurtkę, nadziałem ją na dzidę, czyniąc sobie z tego pewną osłonę od strzał nieprzyjacielskich, wyrwałem dwie strzały, z których jedna zraniła mi ramię, a druga rękę, i wywijając potężnym kijem, rzuciłem się w sam środek Selenitów.

Tchórzliwy ten naród pierzchnął przed mojem natarciem jak gromada mrówek. Porzucili łuki na ziemię i szybko uciekli, gdzieniegdzie tylko z boku dobiegała mnie jeszcze strzała, lecz więcej trafiało ich w kurtkę niż we mnie. Rozgrzany walką, chciałem się raz na zawsze dać Selenitom we znaki, biłem ich też jak kapustę kijem, a oni padali z szelestem, jak podcięte kosą konopie, reszta, wydając piskliwe okrzyki, rozbiegła się na wszystkie strony.

Nie goniłem ich. Obtarłem chustką pot z czoła i krew z twarzy, bo kilka strzał drasnęło mnie boleśnie w policzki, i usiadłem na skale, by odpocząć i wyjąć strzały z kurtki. Była ich cała wiązka, złożyłem je razem z połamaniami na kawałki dzidami i łukami, związałem chustką w jeden pęk, który razem z grubym kijem i łańcuchami stanowiły niezły majątek. Pomimo tak szacownych zdobyczy walka z Selenitami wydała mi się snem, czułem się silnym, swobodnym i po raz pierwszy na księżycu szczęśliwym.

(d. c. n.)

Kalwarya Zebrzydowska.

Pięć mil od Krakowa w okręgu Wadowickim, nad brzegami rzeki Skawiny leży schludne miasteczko zwykle ciche i mało zaludnione, ale niekiedy a zwłaszcza w sierpniu każdego roku nawiedzane przez liczne rzesze

pielgrzymów, którzy przybywają z różnych stron, aby przed stacyami Męki Pańskiej szukać ukojenia i pociechy w modlitwie.

W tym roku minęło właśnie trzysta lat od poświęcenia tej miejscowości służbie Bożej i dlatego opowiemy wam pokrótce jej dzieje.

Było to w Wielki Czwartek roku Pańskiego 1595, kiedy marszałek koronny Mikołaj Zebrzydowski z żoną swoją Dorotą, z domu Herburtówną, przechadzając się nad wieczorem na zamku w Lanckoronie, dojrzał na górze, zwanej wówczas Zarek, trzy jaśniejące krzyże, już poprzednio przez pasterzy widywane.

Na miejscu tem zatknięto najpierw trzy krzyże, do których w dni krzyżowe chodziła procesya z Lanckorony.

A że właśnie dworzanin Zebrzydowskiego, Hieronim Strzała, wybierał się w podróż do Jerozolimy, zlecił mu Zebrzydowski zrobienie planów kaplic Jerozolimskich, zamierzając na miejscu objawienia podobne postawić. Po powrocie dworzanina rozpoczęto zamierzone dzieło i już w dniu 2-im sierpnia 1602 r. nuncjusz papieski, Rangoni, poświęcił dwa najpierwsze kościoły: Ukrzyżowania i Grobu Chrystusa, oraz kamień węgielny pod główny kościół M. B. Anielskiej.

W kilka lat później po otrzymaniu zezwolenia na założenie klasztoru dla O. O. Bernardynów, Zebrzydowski przystąpił do jego budowy, ale przerwał to dobre dzieło dla złego, gdyż wziął główny i naczelny udział w rokoszu przeciw Zygmunтови III-mu, który zakończył się bitwą pod Guzowem (6 lipca 1607 r.). W bitwie tej hetmani Chodkiewicz i Żółkiewski pobili na głowę Zebrzydowskiego, który uzyskawszy przebaczenie królewskie za nieszczęsny rokosz, wrócił do Lanckorony i przywdziawszy habit zakonny, zajął się dalszą budową świątyni i kaplic.

Fundację Zebrzydowskich po wygaśnięciu tego rodu prowadzili ich sukcesorowie ks. Czartoryscy. Ostateczne roboty przypadły przed dwustu laty w 1702 r. Od tego czasu Kalwarya Zebrzydowska posiadała trzy kościoły, klasztor i 46 kaplic i ściga do siebie stale, jak mówiliśmy wy-

„Do pow. Pierwsi ludzie na księżycu.”



Rzuciłem się w sam środek Selenitów.



Kościół w Kalwarii Zebrzydowskiej.

żej, liczne rzesze pobożnych różnych stanów. W roku bieżącym obchodzone uroczyste trzechsetny jubileusz Kalwarii Zebrzydowskiej.

NOWA KOLEŻANKA.

(Dalszy ciąg).

— Jak dalej? — zawołała Antosia.

— Dajże mi pokój — odparła niecierpliwie Irenka — czy ja mogę wszystko pamiętać.

— To ja ci powiem — rzekła Wanda — bo w tej chwili mogę to całym sercem powtórzyć.

— Więc i ty uczyłaś się literatury; znasz te wiersze?

— Naturalnie; czytałam parę razy „Pana Tadeusza” — łatwo mi było spamiętać wiele ustępów.

Irenka nie odezwała się wcale, ugodło ją, że Wanda więcej znacznie od niej umiała, gdyż przyznać trzeba, że Irenka nie bardzo była mocna w literaturze, lecz pohyciwszy tu i owdzie jaki ustęp, lubiła chwalić się swą umiejętnością, co jej się nieraz udawało z Julcją lub Kolskimi. Irenka choć bystra i nie pozbawiona zdolności, była jednak bardzo leniwa z natury, a książka nie nęciła jej wcale. Jednak nie przyznawała się do tego, owszem, korzystała z każdej sposobności, żeby się pochwalić świeżo nabytą wiadomością; nie zawahała się nawet rozminąć się niekiedy z prawdą, byle tylko wmówić otaczającym, że posiada więcej od nich wiadomości.

IV.

Nauka Wandy rozpoczęła się zaraz dni następnych; ustanowiono, że niektóre przedmioty pobierać będzie razem z Irenką od tych samych nauczycielek. Irenka bar-

dzo była z tego niezadowolona, tembardziej, że odrazu pokazało się, że Wanda nie była tak zacofana w naukach jak się to zdawało jej koleżankom. To niechętnie usposobienie objawiło się wieczorem, gdy panienki zabrały się do przygotowania lekcji na dzień następny. Uczyły się w swoim pokoju, gdzie stał na środku stół okrągły, przy nim siedziały zwykle Kolskie i Julcia, Irenka zaś posiadała mały stolczyk pod oknem. Gdy zajęły swe miejsca, Wanda zbliżyła się z książką w rękę, by usiąść także przy większym stole, Irenka odwróciła się ku niej szybko:

— Zdaje mi się, że tu już niema miejsca — rzekła.

— Ja dużo miejsca nie potrzebuję — odparła Wanda — jeżeli Antosia odłoży na bok kajety, które jej są w tej chwili niepotrzebne, a Julcia posunie się do Mani, to będę mogła umieścić się doskonale.

— Ale nam nie będzie z tem *doskonale* — zawołała Mania — ja nie mogę się uczyć, jak kto blisko mnie siedzi.

Antosia wyciągnęła już rękę, by usunąć swe kajety, powstrzymała ją spojrzenie Irenki, Julcia zaś rozsunała jeszcze szerzej swe przybory i udała pilne zajęcie nauką. Widząc to Wanda, wyszła z pokoju.

— Może źle zrobiliśmy, nie pozwalając jej tutaj usiąść — odezwała się Antosia — wszakże miejsca jest dosyć.

— Zapewne, ale ja jej tu nie potrzebuję — rzekła Irenka — pamiętaj, Antosiu, że jeżeli ją tu zaprosisz, to nie pożyczyci ci nigdy mojej książki.

— Ani myślę zapraszać — odparła Antosia.

Panna Teresa czytała przy stole w jadalnym pokoju, gdy Wanda weszła z książkami i rozłożyła je na drugim końcu.

— Czy nie będę pani przeszkadzała, ucząc się tu lekcji? — spytała.

— Bynajmniej, moja Wańdziu, ale dlaczego nie chcesz uczyć się razem z tamtymi panienkami?

— To one nie chcą, proszę pani, utrzymują, że będę im zawadzała.

— Ależ tam stół taki duży! Myślałam, że byłoby wam razem weselej.

Przy herbacie panna Teresa zwróciła się z tą uwagą do dziewczynek.

— Koleżanki nigdy sobie wzajemnie nie zawadzają — dodała — a pragnęłabym, abyście się wszystkie bliżej poznały i żyły z sobą.

Mania skrzywiła się na te słowa.

— Nie wiedziałam, że Wanda skarżyła się przed panią — rzekła.

— Tam rzeczywiście trochę za ciasno — bąknęła Irenka...



Wieśniacy z okolic Kalwarii Zebrzydowskiej.

— Jeżeli pani stanowczo sobie tego życzy... — zaczęła Julcia.

Lecz Wanda przerwała żywo:

— O nie! nie! niech pani pozwoli mi tu pozostać, ja nie chcę narażać się tym paniątkom — zawołała.

— Nie zmuszam was do niczego — rzekła panna Teresa — zrobiłam tylko uwagę, lecz możecie postępować, jak się wam podoba.

— Nasza gąska coraz bardziej mi się niepodoba — powiedziała Irenka wieczorem, gdy znalazła się sama z Wolskimi.

-- Nieznośna dziewczyna — dodała Mania.

V.

Tak upłynęło parę tygodni, pewnego razu spotkała Wandę miła niespodzianka, panna Teresa oddała jej list z pocztą.

— Od Janka! — wykrzyknęła radośnie, i śpiesznie czytać zaczęła. List był długi, Janek opisywał siostrze jak zwykle wszystkie swoje przygody, w końcu dodawał:

„Napisz mi, czy ci dobrze w Warszawie i czy masz miłe koleżanki, choć jestem młodszy od ciebie, ale mam więcej doświadczenia, więc posłuchaj mojej rady. Nie wiem, jak tam panny między sobą postępują, lecz sądzę, że nie różnią się od chłopców; pamiętaj zatem, Wańdziu, gdy będą ci dokuczały, sama sobie wymierzaj sprawiedliwość. choćby pięścią, ale nie idź na skargę do nauczycielki, jeżeli chcesz żyć w zgodzie. A przytem nie gniewaj się, gdyby która z ciebie żartowała, gdyż będą się śmiały dwa razy więcej.”

Wanda zamyśliła się, czytając te słowa.

— Może też Janek ma słuszość — rzekła sobie w duchu — będę znosiła cierpliwie przykrości.

Najtrudniej jednak było zastosować się do tej rady, nie skarżyła się wprawdzie przed nikim, lecz czuła się obcą wśród swych towarzyszek, a ich żarty sprawiały jej nieraz wiele przykrości. Pomimo całej łagodności charakteru i dobrego serca, Wanda miała jedną wielką wadę, była obraźliwą. Łatwiej przebaczała prawdziwą przykrość, niż wymierzanie, najmniejszy żarcik wprowadzał ją z granic cierpliwości, koleżanki spostrzegły to prędko i jak zwykle w takich razach nie szczędziły docinków; litewski akcent bywał też powodem żartów i podrzeźniania, co Wandę drażniło niezmiernie. Gdyby umiała wesoło na żarty odpowiadać, prawdopodobnie ustałyby one wkrótce, lecz dziewczynka zniechęcona odsunęła się od towarzyszek i poza wspólnymi lekcjami trzymała się od nich jak najdalej, nie biorąc udziału w ich rozmowach lub zabawach, przychodziło jej to tem łatwiej, że od dzieciństwa nauczyła się sama sobie wystarczać. Julcia i Antosia a nawet Mania chętnie by się do niej zbliżyły, lecz despotyzm Irenki powstrzymał je od uczynienia pierwszego kroku.

I tak dni mijały. Na Boże Narodzenie wszystkie dziewczynki rozjeżdżały się do rodziców, Wanda tylko pozostała w Warszawie. Ciotka nie życzyła sobie, aby odbywała samotnie dość daleką podróż, sama zaś przyjechać po nią nie mogła. Na wieczór Wigilijną panna Teresa zaproszoną była do znajomych, naturalnie Wanda jej towarzyszyła i bardzo przyjemnie przepędziła wieczór wśród domowych paniątek, które znała już poprzednio. Panna Teresa, chcąc rozzerwać Wandę, zabierała ją zwykle z sobą, gdy przepędzała wieczór za domem, tym sposobem Wanda nie mogła narzekać na brak rozrywek, dni zaś spędzała na czytaniu książek, których parę dostała na gwiazdkę od ciotki i panny Teresy. Nieraz jednak ogarniała ją tęsknota do Janka, z którym zwykle święta spędzała i mimowoli lży cisnęły się jej do oczu.

Pewnego popołudnia panna Teresa zastała ją siedzącą w oknie smutnie zamyśloną.

— Przykro ci, że jesteś tak samą, nieprawdaż? — rzekła, zajmując obok miejsce.

— Nie, proszę pani, tęskno mi tylko do domu, do cioci i Janka, o nich myślałam w tej chwili.

— Byłoby ci jednak weselej, gdybyś tu miała którą z koleżanek?

— O, bynajmniej, cieszę się bardzo, że tu żadnej niema.

— Tak! spostrzegłam już od niejakiego czasu — zaczęła poważnie panna Teresa — że wasz stosunek wzajemny wiele pozostawia do życzenia i bardzo mi to przykro.

— To nie moja wina, proszę pani — rzekła Wanda — Te paniąki mnie nie lubią, ja też im się nie narzucam i nie mam z sobą nic wspólnego.

— Ale tak trwać nie może moje dziecko, niepodobna przecież, abyście mieszkając razem, pozostały sobie obcymi, wspólnie nauki i zabawy was zbliżyć powinny: wytworzyć przyjaźniejszy stosunek.

— Oh! prężni to chyba nigdy między nami nie będzie, ja nie jestem stworzona do życia koleżeńskiego, a one także sobie nie życzą bliższego stosunku ze mną.

— Czy próbowałaś zjednać je sobie, Wańdziu?

— Kiedy to daremne!

— Uprzejmość w obejściu nie jest nigdy daremną, gdybyś chciała być względem twoich koleżanek taką, jaką jesteś dla mnie lub dla innych paniątek, kto wie, czy i one by się nie zmieniły.

Wanda milczała zamyślona.

— Ja nie bronię twoich towarzyszek — mówiła dalej panna Teresa — zawiniły bardzo, to prawda, jestem jednak pewna, że gdyby poznały cię bliżej, polubiłyby cię i oeniły, jak na to zasługujesz, a i ty przekonałabyś się, że obok wad posiadają wiele zalet, których dziś nie widzisz. Wierz mi, Wando, że mówię dla twego dobra, bo chciała-bym, żebyś się czuła szczęśliwszą.

Wanda ucałowała serdecznie pannę Teresę, przyznając jej zupełną słuszość.

(d. c. n.)

Z wystawy sztuki stosowanej polskiej.

(Urywek

z listu

Helenki J.

czytelniczki

„Wie-

czorów”).



...Harmonijne *der, die, das!* uspiło mnie. Gdyby nie Wańdzia byłabym nosem traciła o ławkę.

Zato następna lekcya, mateczko! To rozkosz, prawdziwa, żebym ją tylko powtórzyć umiała!

Profesor matematyki nie przyszedł, zastąpiła go przełożona. Mówiła, ale ach! jak ona mówiła! jeszcze teraz bię mi mocniej serce, gdy sobie jej wykład przypominę.

Mówiła więc, że korzystając z jutrzejszego święta pójdziemy po nabożeństwie zobaczyć w Pałacu sztuk pięknych wystawę sztuki stosowanej i że ona chce nam wytłomaczyć

ważność tych zbiorów, których znaczenie cały kraj powinien ocenić. Mówiła o pięknie, jako o jednym z najszlachetniejszych przejawów duszy ludzkiej. Narody odczuwają piękno wedle własnych upodobań i wcielają je we właściwe tylko sobie dzieła. Stąd powstają style, czyli pewne odmienne, do przyrody kraju, usposobień i ducha mieszkańców kraju zastosowane, wyrażenia pojęć o pięknie.

Styl grecki różnił się od egipskiego lub asyryjskiego, a różnicę tę spostrzegamy nie tylko w budowlach czyli w architekturze, ale w rzeźbie, i w zdobnictwie sprzętów i innych nawet najpospolitszych przedmiotów.

I było tak zawsze. Każdy naród kładł swoje wyjątkowe piętno na tem, co go otaczało; a jeśli nie każdy, jak Grecy, potrafił stwarzać arcydzieła we wszystkich kierunkach, to przynajmniej udoskonalał wysoko jeden poszczególne działy swych prac tak, że nabierały one wszechświatowej sławy.

— Persya dała nam wzorzyste dywany, — mówiła dalej pani przełożona — Indye tkaniny; szale tureckie stanowiły do niedawna najcenniejszą ozdobę stroju naszych matek. Wiemy wszyscy o Chińskiej porcelanie, sztuka Japońska ma wszechświatową sławę. Cóż my posiadamy rodzinnego, jakim dziełem własnego stylu szczyścić się możemy przed ludami Azji i Europy?

Takie pytanie rzuciła nam przełożona. Nie wiem, co myślały moje koleżanki, nie wiem nawet, co myślała Wańdzia, ale mnie ogarnęła prawdziwa złość, bo nie wiedziałam, jak odpowiedzieć na tę palącą kwestyę.

— Jak to? więc nic, nic takiego swojskiego nie posiadamy? Nie przynieśliśmy nic do ogólnego dorobku? Przebiegłam myślą znane sławne gmachy, wszystko gotyk, renesans lub barok. I meble, widywałam śliczne nieraz, ale były one w stylu francuskim Ludwika XV, albo *empire*.

— A jednak mieliśmy nasz styl — mówiła przełożona, jakby odgadując moje zmartwienie. — Przetrwwały do dziś dnia budowle piastowskie, noszące cechy rodzime. Nie o nich jednak dziś mówić będę, chciałam zwrócić waszą uwagę na odradzającą się sztukę naszą zdobniczą np. na meble w stylu staro-polskim.

— Chyba zakopiańskim — szepnęłam nieśmiało i aż się przelekkłam własnego zuchwalstwa. Poprawiać przełożoną, brawo p. Heleno! Ale przełożona uśmiechnęła się tylko pobłażliwie i tłómaczyła dalej, że na całym obszarze kraju znaleźć można ślady rodzimej sztuki, że zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa chaty włościańskie i dworki szlacheckie budowane były dawniej w całym kraju tak jak je dziś budują w Zakopanem. Ze nasi Piastowie siadali na ławach podobnych do tych, które rzeźbią górale. Jest wiele dowodów na potwierdzenie tego mniemania. Przełożona widziała w kolegiacie Opatowskiej i Lubelskiej stare stoły zupełnie wedle zakopiańskich wzorów zrobione, a ludzie oddani tej sprawie odnajdują w wielu miejscowościach na całym obszarze charakterystyczne szczątki, świadczące o duchowym powinowactwie z góralskimi budowlami.

— Dlaczego więc przechowały się one tylko w Tatrach? — zapytała Rozsądna.

— Dlaczego? dużyby można na to przyczyn znaleźć — mówiła przełożona. — Chata górala jest kosztowną budową, wcale niepodobna do ubogich lepianek naszego włościanina.

Zrobiło mi się smutno. Więc to tak, więc i naszemu ludowi dał Bóg poczucie piękna. On go użył na wytworzenie odrębnej sztuki, a teraz co z niej zostało, co robić?

O tem, co teraz robić należy miałyśmy się dowiedzieć od przełożonej. Napominała ona, że nigdy rąk bezczynnie opuszczać nie trzeba, że i dziś jeszcze we wszystkich okolicach kraju lud ma swoją sztukę, swoje odrębne pojęcie o pięknie. Ocalać wszystko, co zostało z przedwiekowej spuścizny, to pierwsze zadanie, dlatego też ludzie dobrej woli jak s. p. dr. Matlakowski, pan Warchałowski i inni artyści jak Witkiewicz, całe życie swoje włożyli w uzupełnienie i rozwinięcie polskiego stylu.

Styl ten, styl rodzimy, chcą teraz zastosować zarówno do budowli, jak do sprzętów. Dużo tu trzeba stworzyć, dużo odgadnąć artystycznym natchnieniem. Początek już zrobiono. Jak kiedyś z piosenek i podań ludowych wyrosła wspaniała poezya romantyczna, którą słusznie szczyścić się możemy, tak dziś z motywów ludowego budownictwa i zdobnictwa wykwitnąć może nasz styl XX wieku. Prośmy Boga o wielkiego artystę, a sami uczmy się znać i kochać swojską sztukę.

Kochana przełożona! tylko ja tak źle, tak niedokładnie powtórzyłam jej słowa!

1 Listopada.

Wracamy z wystawy, piszę natychmiast żeby opowiedzieć dokładnie wszystko, co widziałam. Dostałam pewnie burę od damy klasowej że nie schowałam rękawiczek ani kapelusza. Ale kto by tam myślał o kapeluszu, a co do rękawiczek, to mama wie, że ich nienawidzę, krępują rękę, cisną, albo ta woalka! Wszystko to wymysły niepotrzebne. Niema jak prostota! niech żyje sztuka ludowa! Widzę, jak się mama uśmiecha, czytając te słowa.

W pierwszej chwili na widok pstrocizny tych obrazków, deseników, wycinanek, pisanek, zebranych ze wszystkich okolic miałam ja przynajmniej do uczucie, że to dzieciaki powystrzygały sobie dla zabawki owe róże i ptaki. Ale im dłużej podziwiałam mazurskie, łowickie, szląskie, i inne drewniane rzeźby, kwiaty, desenie, zwierzęta, tem robiło mi się weselej na sercu, tem się czułam więcej zadowolona. Jest rozmach, humor, życie, w próbach ludowej sztuki. Te koguty zapiałyby niezawodnie na swojską nutę, a zając leci zupełnie jak w piosence myśliwskiej.


— A tu leci zając, zając, przyjacielu mój!

Nie znam się na tem, nie mam więc prawa wypowiadać zdania o rzeczy tak poważnej. Ale pamięta mama, jak wśmiewano romantyczne próbki Mickiewicza, kiedy pisał w dziadach „Głucho wszędzie, ciemno wszędzie”. Dziś także widziałam drwiące uśmiechy u osób oglądających wystawę. A mnie mówiło coś w sercu: przyjdzie wielki artysta, napatrzy się tych wesołych, żywych, jak dusza ludu szczyrych wzorów, weźmie je w siebie i stworzy sztukę zdrową, prawdziwą, z soków narodu wyssaną. To ostatnie zdanie powiedziała przełożona porównując motywy ludowe z tak zwanymi motywami secesyjnymi które oglądaliśmy później wśród pięknych prac malarza Okunia. Mnie podobał się tylko jego portret i wróciłam raz jeszcze do skrzyń, malowanych w pstre kwiaty, do pasów, do kołowrotków, do bardzo ciekawych szląskich czerpaków. I dobrze, że przełożona zakomenderowała odwrót, bo robiło mi się coraz jaśniej w sercu, byłabym zaśpiewała na cały głos:

„Albośmy to jacy tacy, jacy tacy, chłopcy krakowiacy!”

Więc kiedy coś rozwesela nas, i cieszy duszę, to jest dobre, nawet przełożona mówi, że celem sztuki dawać szlachetne zadowolenie. Niech zatem żyje sztuka stosowana! niech żyje przyszły mistrz, którego ja, Hela przeczuwam i przepowiadam. A przeczuwam i dobrą cenzurę, matczko, ale nam ich jeszcze nie dali. Poślemy cenzury w przyszłym liście a tymczasem wyglądamy rychłej na ten odpowiedzi. H.

Wyjazd maharadży indyjskiego.

spaniale wyglądają maharadzowie indyjscy, gdy na olbrzymim słoniu w otoczeniu świty i służby wyjeżdżają z zamków swoich.

Roztaczają wówczas cały przepych swego dworu, wydobywają najcenniejsze makaty, kobierce, świetne klejnoty, przepyszne zbroje.

Lud biedny, (paryasi) spotykając taki pochód, bije przed nim czołem.

Pomimo pozorów świetności, władza kilku państw pozostałych w Indostanie, nie jest wielka, podlegają oni zwierzchności Anglii, która im wypłaca znaczne pensje, ale w rzeczywistości rządzi ich państwami.

Przedstawiony na naszej rycinie maharadża indyjski z Dżejpuru gdy przybył na uroczystości koronacyjne do Londynu, towarzyszyło mu 150 Indusów w barwnych strojach narodowych, gotowych na każde skinienie swego władcy. Rzeczy będące osobistą jego własnością ważyły 40 ton, (1 t. czyli becinka, waga okrętowa ang. = 2,000 f.) Wiózł on także z sobą szczerzłotą statwę, przedstawiającą bożka Buddę, ozdobioną drogiemi kamieniami, oraz duży zapas świętej wody z Gangesu, przechowywanej w wielkich amforach glinianych.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze z drugim plecione, nie do zbytku wcale,
Ale w prostych potrzebach służy doskonale.
Drugie zaś z pierwszym zwykle znajduje się wszędy,
Kiedy należy wstrzymać wód bystre zapędy.
Trzecie samo znaczeniem na świecie się mierzy,
A było niegdyś bóstwem pogańskich pasterzy.
Wszystko wraz jest przyładkiem, którego nazwisko,
Na karcie Europy znajdziesz bardzo nisko.

ARYTMOGRYF.

ul. Polna Różyczka z nad Rawki.

- 1) 19, 40, 14, 40, 46, 3. Miasto we Francji.
- 2) 16, 3, 20, 46, 13, 29. Imię wielu faraonów egip.
- 3) 3, 30, 19, 22, 6, 37, 30, 3. Córnka Edypa.
- 4) 5, 3, 6, 37, 19. Drewniany instrument muzyczny.
- 5) 7, 30, 29, 8, 16, 40, 2. Miasto w Tyrolu.
- 6) 1, 3, 18, 3. Słowiańskie bóstwo młodości.
- 7) 3, 19, 19, 22, 2, 3. W staroż. prowincya Grecji.
- 8) 2, 37, 1, 37. Miasto nad Wartą.
- 9) 37, 16, 46, 13, 26, 1, 37, 38, 2, 3. Ptak, z rodz. wróblowatych.
- 10) 29, 3, 13, 3, 16, 3. Pustynia.
- 11) 3, 20, 7, 26, 7, 29. Powieściopisarz włoski dla młod.
- 12) 30, 13, 2, 19, 3, 16. W mitologii trunek bogów.
- 13) 3, 23, 7, 29. Wół czczony w Memfis.
- 14) 2, 38, 7, 16, 22, 30, 3, 1. Królewski pałac w Rzymie.
- 15) 3, 1, 19, 3, 4. Pasma gór w Azji.
- 16) 20, 13, 20, 5, 7, 29. Dawna stolica Niż. Egiptu.
- 17) 7, 8, 13, 16, 40, 29. Dawna nazwa rzeki w Hiszpanii.

18) 13, 14, 7, 3, 29, 46. Prorok izraelski.

19) 30, 13, 23, 19, 40, 30. Bożek rzymski.

Zastąpić liczby literami i utworzyć wyrazy, którychby pierwsze litery złożyły dawne przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO Nru 44-go.

Łamigłówki literackiej:

Potop, Anieli, Nieboska komedya, Treny, Anna z Nadbrzeża, Dziady, Emeryt, Uskoki, Sybilla, Zofiówka.

Pan Tadeusz.

Otrzymałiśmy wiele rozwiązań łamigłówki literackiej i wszystkie prawie bez błędu. Niektórzy podawali inne tytuły niż te, któreśmy wybrali, np. „Pan Wołodyjowski” zamiast „Potop,” „Arab” zamiast „Anieli” i t. p. ale zawsze tych samych autorów, uważamy więc te rozwiązania za dobre.

Oto lista: Zajączek z Ukr., K. Milieski, W. Lipińska, Zosia z pod Skalbmierza, Polna Różyczka, Polka, M. Bukowska, Boleszczo, Antek, Jagienka z nad Horynia; Pasterka Górska, Hamilkar z nad Newy, C. Słoński, W. Ulatowska, D. Buki, Ogrodniczka, J. Roslaniec, B. Straszewicz, Choinka, Al. Apatow, L. Zgórski, Zlam. Podkowa, Żabka z Pawołoczy, K. Guszkowski, Z. Widawska, Jana, N. Polak, E. Dzik. Marti, A. Zeńowicz, H. Gutmanówna, J. Koziejowska, K. Reicher, M. Czarnocka, H. Korwin-Krukowska, Z. Jakubka, Dzika Litw., A. Szystowska, Ira, Różyczka z Czernihowa, Sarnecka, Stokrotka i Maczek Czerwony, M. N. i Żabka z nad Rosi.

Zamiast jednej rozlosowaliśmy *dwie nagrody*, które wypadły dla J. Rosłańca i Różyczki z Czernihowa.

ROZWIĄZANIA DO Nru 45-go

Szarady: Ko — res — pon — den — tka.

Łamigłówki artystycznej:

	K o S s a k
C z e c h o w i c z	M a t e j k o
G i e r y m s k i	S m u g l e w i c z
	Ę r o t t g e r
B a c c i a r e l l i	C h o d o w i e c k i
	O l e s z k i e w i c z
O r ł o w s k i	K o n i c

Do niniejszego numeru na pocztę dołącza się cennik J. Müllera.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna, miesięcznie w Warszawie 35 kop.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Wyjazd maharadży indyjskiego (z ryc.) — Pogadanki z dziedziny chemii, przez Wł. U. — Waga, wiersz przez Rossowskiego. — Pierwsi ludzie na księżycu, przez H. G. Wells (z ryc.) — Kalwarya Zebrzydowska (z ryc.) — Nowa koleżanka. — Z wystawy sztuki stosowanej polskiej. — Łamigłówki i rozwiązania. — Dodatek: Zaklęty tort czyli figiel Janka (z ryc.) — Z prawdziwego zdarzenia przez Z. B. — Aż się Stasia rozplakała, wiersz p. Z. Z. — Pan „Dlaczego.” — Przygody Wojtaszka, przez Julię Piasecką. — Łamigłówki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Biruta przez Z. Rudnicką.

Zaklęty tort czyli figiel Janka.



III.

Solenizantka Zosię z koszykiem
Wiedzie do gości, wdzięczna i rada,
Wnet ją wesołym wita okrzykiem
Siedząca wkoło panien gromada.
Radość ogólna, jak gdy z daleka,
Ostatni okręt wpłynie do portu.
Już czekolada gotowa czeka,
A brakło właśnie smacznego tortu.
Zosia kosz cenny stawia na stole,
— Wszystkie się wkoło skupiają blisko, —
Podnosi wieko z dumą na czole,
Wtem — wyskakuje czarne kocisko!



IV.

Ach! Ach! — krzyk powstał, aż jęły ściany,
Strach, hałas, rwetes i zamieszanie.
To kot zaklęty, zaczarowany!
Któż mógł przypuścić, że tak się stanie!
Kiedy przytomność wreszcie wróciła,
Poznała Zosia swojego kota,
I koleżankom rzecz wyjaśniła,
Że to psotnika Janka robota.
A to szkaradnik! A to ladaco!
One mu tego nie puszczą płazem;
Lecz jak za figiel figlem odpłacą, —
O tem już innym opowiem razem.

Z prawdziwego zdarzenia.

Mama Michasia wybierała dla synka książki w księgarni. Książki były ciekawe, pełno w nich ślicznych obrazków, ale Michaś kręci się na stołku i nie uważa, co mama do niego mówi. Wiecie dla czego? bo choć przykro to powiedzieć, Michaś, który ma już lat dziewięć, wcale uczyć się nie lubi.

— Brzydki chłopiec — pomyślicie i będziecie mieli słusność. Dzyn! dzyn! dzyn — zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Do księgarni wszedł wieśniak ubrany w kapotę taką, jaką noszą chłopcy z okolic Opoczna.

— Proszę o żywot świętego Stanisława — powiedział nieśmiało i rozglądał się po księgarskim stole.

Na tym stole leżało bardzo wiele książek, wieśniak patrzył ciekawie po wszystkich. Miał twarz mizerną, jego kapota była wytarta i połatana.

— Z daleka przyjechaliście, gospodarzu? — zapytała mama Michasia.

— Z Gielniowa pod Opoczmem, przyszedłem, nie przyjechałem, proszę pani. Przyszło nas tu kilku do kościoła Bernardynów, gdzie jest kaplica św. Ładysława, który przed wiekami u nas w Gielniowie się rodził, a tu w Warszawie potem mieszkał i umarł.

— Daleko to do Gielniowa, mamgo? Czy jabym tam trafił? — zapytał Michaś.

— Trafiliby panicz, czemu nie! Panicz ma pewnie mapę i geografii się uczy, to trafi. Chciałem moim dzieciom kupić geografję, tylko to może bardzo droga książka, — mówił wieśniak i spojrzął na księgarza.

Księgarz się uśmiechnął, książka z opisem kraju i mapką kosztowała rubla i trzydzieści kopiejek.

— To mniej niż historia o grzecznym Władziu, którą podarłem wczoraj — szepnął zawstydzony Michaś.

— Nie mam tyle, nie kupię tej książki — powiedział z smutkiem wieśniak i zabierał się do wyjścia.

Wtedy mama Michasia położyła na stole pieniądze za geografję i poprosiła, aby przyjął od niej książkę na pamiątkę.

— Weźcie — mówiła — weźcie, ja znam Gielniów, będzie mi miło pomyśleć, że wasze dzieci uczą się geografii, że będą mogły trafić wszędzie, gdzie zechcą, że się dowiedzą różnych ciekawych rzeczy.

Tak mówiła mama, wieśniak dziękował obcej pani za to, że pomyślała o jego dzieciach, a Michaś spuścił główkę zawstydzony.

A było czego się wstydzic. Miał tyle ślicznych książek, lecz nie zaglądał do nich wcale. A przecież książka musi być rzeczą piękną i dobrą, kiedy ją kupuje ubogi człowiek, taki nawet, który nie ma pieniędzy na nową kapotę.

Tak myślał Michaś, i kiedy drzwi zamknęły się za wieśniakiem, zeskoczył rażno z krzesła. Potem schwycił książkę, którą mama dla niego wybrała i poprosił czyby nie można zamienić jej na geografję.

— Chcesz geografii, synku? — zapytała zdziwiona mama.

— Chciałbym uczyć się tego samego, co dzieci tego gospodarza, żeby wiedzieć, jak trafić do Gielniowa, w którym te dzieci mieszkają.

Mama spojrzała na Michasia, kupiła geografję, a wracając do domu, długo rozmawiała z synkiem o ludziach, którzy książek nie mają.

— Nigdy już nie będę darł swoich — powiedział Michaś, wchodząc do mieszkania. Wiem już, co z niemi będę robił.

Z. B.

Aż się Stefcia rozplakała.

Aż się Stefcia rozplakała,
Że jej mama na śniadanie
Tylko bułkę z masłem dała,
Mówiąc, że dziś nie dostanie
Z ciastka nawet okruszynki.

Jakże złe są te dziewczynki,
Co to płaczą, stroją minki,
Z obrażoną chodzą twarzą,
Kiedy ciastkiem ich nie darzą.
Niech przypomną sobie wtedy
Wiele jest na świecie biedy,
Wiele głodnych, smutnych dzieci,
A gniew w oczach nie zaświeci.

Z. Z.

Pan „Dlaczego.”

Był raz jeden mały Józio, który chciał wszystko wiedzieć i rozumieć. Jego niania nazywała go panem „Dlaczego,” bo też Józio często bardzo tak zaczynał swoje pytania.

— Dlaczego woda w rzece się rusza, a w stawie stoi?

— Dlaczego w zimie są dni krótkie, a w lecie jeszcze o dziesiątej można biegać po ogrodzie?

— Dlaczego, dlaczego! ma się też Józio o co pytać — odpowiadała niania i szła kołysać braciszka. Niania miała dużo roboty, a przytem jej nikt nigdy nie tłumaczył dziwnych i ciekawych rzeczy, o które zawsze pytać warto.

Biedna niania!

Józio był daleko szczęśliwszy od niani.

Jego mama rozmawiała z nim o rzece, o stawie, o tem jak słońce świeci w lecie a jak w zimie. Józio odchodził zadowolony, bo coraz więcej rzeczy rozumiał:

Czasem znów pan Dlaczego próbował sam odgadnąć to, czego nie wiedział,

Raz siedział w kuchni przy oknie, a niania prała na balii bieliznę braciszka.

Józio umiał już pisać litery. Podniósł paluszek do góry, jakby to był ołówek i napisał na szybie *a* potem *b* a potem jeszcze *m* i *u*. Doskonale widać każdą kreskę, tylko przy tem pisaniu rękawek od sukienki Józia zrobił się cały wilgotny.

— Fe! a to skąd? woda na szybie?

— Dlaczego ta szyba jest mokra? — myśli Józio. Tak bardzo myśli, że czoło zmarszczył od wielkiego myślenia.

— Już wiem! — zawołał i aż poczerwieniał z radości. Bo wielka to radość *samemu* zrozumieć rzecz trudną.

— Nianiu, deszcz zrobiłaś na oknie z twojego prania — mówił Józio.

Niania ruszyła ramionami.

— Ale moja nianiu, pan Dlaczego mówił prawdę. Mama wytłumaczyła niedawno Józiowi, że woda przez gotowanie zamienia się w parę. Para jest lżejsza od wody, więc ucieka w górę, uciekała też i z balii, na której prała niania. Uciekała na ściany, na szafę, no i na okno. Ale okno było zimne, bo na dworze wiał chłodny wiatr. Ciepła para ostygła. Z maleńkich kropelek pary, na których pisał Józio, zrobiły się duże krople wody.

— Te krople spadają z szyby tak samo, jak deszcz spada z chmury, kiedy powieje zimny wiatr — tłumaczył Józio niani.

Niania potrzy to na balię, to na szybę, a pan Dlaczego biegnie do mamy, żeby jej opowiedzieć o deszczu, który sływał po oknie.

Julia Piasecka.

Przygody Wojtaszka.



podniósł głowę w górę, jakby chciał się namyślić, czy może zdradzić plan swój przed chorym chłopcem, który mu się wydał takim dobrym i miłym, gdy wtem utkwil wzrok w portrecie wiszącym na ścianie i głośno już zapytał, pokazując palcem.

— Paniczu, kto to?

Chory chłopczyk posmutniał.

— To jest portret mojej małej siostrzyczki, Marychny, której już niema, ale dlaczego się pytasz?

— Bo mi się wydaje podobną do mojej małej Nelli.

— Któż to taki?

— Dziewczynka, którą się opiekuję.

— A cóżeście wy za jedni?

— Grajki uliczni; ja grywam na flecie, a mała tańczy i śpiewa.

Chłopczyk uniósł się z żywością i klasnął w rękę.

— Ach, taka maleńka, tańczyła w czerwonej sukience i miała złoty kołpaczek! Widziałem ją raz tańczącą na podwórku, gdyśmy mieszkali w Alejach, podobną mi się bardzo, miałem ochotę poprosić ją na obiad, bo mi powiedziała, że jest głodna, ale miałem chrypkę i mama zamknęła okno! Gdzie ona teraz, chciałbym ją zobaczyć?

Julek tak się ożywił tem wspomnieniem, że nietylko usiadł na łóżku, ale miał ochotę z niego wyskoczyć. Zaniepokoiło to matkę, a obawiając się pogorszenia, zbliżyła się do Wojtaszka i dając mu obiecaną nagrodę, rzekła:

— Dziękuję ci mój chłopcze, idź z Bogiem. Dłużej z Julkiem rozmawiać nie możesz, bo go to męczy.

Wojtaszek pocałował panią w rękę i pochylił się do jej nóg wiejskim obyczajem, a później postąpił ku drzwiom, lecz w tej chwili, rozgrymaszony chorobą Julek, głośnym wybuchnął płaczem.

— Mamusiu, nie oddalaj go, proszę, ja chcę mu jeszcze jedną rzecz powiedzieć.

— I cóż to takiego? — pytała trwożnie matka, patrząc na zarumienioną twarz synka.

— Chcę, ale chcę koniecznie, aby oni przyszli tu kiedy razem; chcę tę małą jeszcze raz zobaczyć, jak tańczy i śpiewa, bo ona mi się tak podobała, że bardzo długo o niej wtedy myślałem.

— Dobrze, synku, lecz pierwszej przyjąć musisz do sił i zdrowia i jeśli przez cały tydzień posłuszny i cierpliwym będziesz, pozwolę dzieciom tym przyjść w sobotę, a mała tańczyć będzie nie na podwórku, lecz w pokoju.

— A więc dobrze, przyrzekam, ale w sobotę nagrodę mieć muszę!

— Nie minie cię z pewnością!

Wojtaszek wyszedł, a Julek wyciągnął rękę do pie-ska, przyłożył do niego swą rozpaloną głowę i mówił:

— W sobotę będę już zupełnie zdrow, mój Bilusiu, nie będę zażywał lekarstwa, i może wstanę z łóżka. Przyjdzie mała tancerka w czerwonej spódniczce, będzie się tak uśmiechała, jak nasza Marychna na portrecie, będzie tańczyła i śpiewała a jak powie, że głodna, dam jej moją czekoladę i sucharki.

I marząc o sobocie, Julek usnął smacznie, a we śnie widział dwie uśmiechnięte twarzyczki: małej tancerki i swej jasnowłosej siostrzyczki z portretu.

Wojtaszek, ściskając w rękę odebraną nagrodę, biegł do domu pełen radości. Gdyby go tak kto zapytał, z czego się tak cieszy i dlaczego wyobraźnia jego wysnuwała całą nić złotej przędzy, nie umiałby pewnie odpowiedzieć. A jednak coś w nim było, coś takiego, czego nie mógł nietylko określić, ale nawet sam zrozumieć. Czy go tak bardzo cieszyła ta duża suma pieniędzy, do jakiej nawet w najśmielszych marzeniach nie sięgał, czy radość popisania się umiejętnością swej towarzyszki przed chorym chłopczykiem i jej matką? I jedno i drugie, choć to tylko mały jakiś dodatek do tego nieznanego uczucia, co tam siedziało w głębi piersi.

Och, żeby mu tylko serce nie wyskoczyło, nim zdąży dobieść i opowiedzieć małej Nelli, tak mu bije nieznośnie, tak stukał! Jakaż krótka dziś ta droga, dzieląca Wiejską od Solca. Kilka podskoków i oto jest już przed drzwiami stancyi pana Szymona! Popchnął je i oto stoi przed swoją towarzyszką, jak pan, bogacz, czarodziej, w mocy którego jest siła przemienienia zła w dobro! Lecz Nelli nie odwraca do niego swej jasnej główki, nie wybiega z radosnym uśmiechem, klęczy w kąci i coś pilnie układa.

— Nelli, Nelli, co robisz, patrz, przyszedłem!

Dziewczynka wstała pomału i odwraca twarzyczkę całą czerwoną od płaczu. Wojtaszek z niepokojem przyciągnął ją do siebie.

— Płakałaś, czy ci kto krzywdę zrobił?

— O nie, nie Wojtaszku, tylko... tylko...

I znów łzy napelniają jej błękitne oczy, a usteczka krzywią się w podkówkę.

— A co ci jest, mów.

— Teraz to już naprawdę Szymon nas wypędzi. Przyszedł z miasta rozgniewany, powiedział, że gdy wrócisz, na ulicę nas wyrzuci, zapakowałam już nasze rzeczy, związałam w moją chusteczkę, ale twojego płaszcza to nie ma, bo Szymon wyniósł go na miasto.

— Ach, tak, bał się, że nie będę mu miał czem zapłacić. Źle zrobił, bo nie będę miał ciepłego odzienia na chłodne dni jesienne, ale to jeszcze nie nieszczęście, Nelli; gdy wróci, rozmówię się z nim, a tymczasem obetrzyj łzy i bądź dobrej myśli, spać na bruku nie będziemy, ja myślę o tem, byś miała wszystko, czego ci trzeba, dopóki...

— Dopóki? — powtórzyła dziewczynka.

— Nie oddam cię w czyjeś lepsze ręce.

Przytuliła się do niego, jak do opiekuna.

— Chcesz mnie oddać komuś?

— Twoim rodzicom.

Klasnęła w rączki i roześmiała się wesoło.

— Dowiedzieli się już o mnie, wiedzą, że tu jestem, że mnie oddała Mira, przyjdą?

— Jeszcze nie, lecz teraz więcej mam nadziei niż dawniej. Chodź, usiądź przy mnie, opowiem ci.

Ciemność zaległa izbę, wiatr jesienny przez drzwi i niedomknięte okno napełniał ją zimnem i wilgocią, ale dzieci nie czuły tego, siedziały obok siebie: dziewczynka zasłuchana w opowiadanie Wojtaszka, on pełen nadziei na przyszłość.

— Widzisz — rzekł w końcu — wszystko będzie dobrze. Szymon, gdy mu powiem, że mam pieniądze na komorne i opał, nie wypędzi nas, ja pobiegnę jutro podać ogłoszenie.

— Ty jesteś mądry, o, bardzo mądry Wojtaszku — mówiła mała, głaszcząc go po twarzy — jabym nie umiała tak obmyśleć, jak ty.

Jakiż Wojtaszek był dumny z pochwały swej małej przyjaciółki, uśmiechając się, rzekł:

(c d. n.)

SZARADA.

uł. Bocian z nad Mereczanki.

Pierwszej szukaj w nut rzedzie,
Druga z trzecią gruby sznur będzie,
Wszystko niskie — między górami,
Niechże z was każdy głowę połamie.

KWADRATY MAGICZNE.

uł. Złamana podkowa i Machega.

a o n	Liczebnik porządkowy.	a a a a	Wyrób z bawelny.
n o o	Zaimek wskazujący.	a n n n	Postać biblijna.
s t t	Zaimek osobowy.	n n o o	Waga okrętowa.
		w t t r	Imię żeńskie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 45-go:

Szarady: Merkury.

Lamigłówki literowej:

Pan Wołodyjowski.

Skrzynka
do
listów.



Sprawozdanie z konkursu robót ogłosimy w przyszłym numerze. Premium gwiazdkowe rozesłemy na początku grudnia.

Prosimy Mazura aby się sam zgłosił do redakcji [po?zagu-biony dodatek.]

Dobre rozwiązania zadań, jako też zadania własnego układu nadesłali: Wańdzia Butlarówna, Warszawiak, Mazur, Polka, Zosia z pod Skalbierza, Kotka z Pilawy.

Przez gościńce i szlaki, bliskie i dalekie, listy do mnie dają, i twój wraz z niemi **Falo Morska** przyplynał. Ty mnie witasz po długich wakacjach, a ja ciebie po długim milczeniu. Ale za to wynagrodziłaś mnie hojnie mnóstwem wiadomości. Jakże wesołe spędziłaś wakacje, aż mnie żal było, czytając, że gdzieś blisko nie uwila gniazdeczka. Widziałabym te wesołe przejażdżki konne, spacer, grzybobrania, a może przez szybę oglądała i ów teatr amatorski, który się powiódł tak dobrze. A nade wszystko słuchałabym wspólnego czytania celniejszych utworów wieszczów naszych. Niemniej mię zajęła ostatnia wiadomość: wieszysz ci serdecznie, że przestałaś być jedynaczką, i masz teraz do kochania małą siostrzyczkę, dla której będziesz jakby drugą mateczką.

Cyganeccze z nad Nidy. Nie myśl, że jesteś jedna ze starszych prenumeratorek „Wieczorów”, bynajmniej! mamy bardzo wiele „poważniejszych wiekiem” od ciebie. Skarżysz się na swą nieśmiałość, a przecież Cyganeccze odznaczają się raczej zbytkiem śmiałości. Nieśmiałość jest wadą, która z wiekiem, przez częstsze obcowanie z ludźmi przechodzi, ale trzeba także pracować nad sobą, zwłaszcza wtedy, gdy źródłem jej jest pewien rodzaj dumy. Twój list ujął mnie swoją szczerością, wejście do grona mych przyjaciółek będzie zależało od ciebie.

Koszulkę twojej roboty, **Kotko z Pilawy**, dołączyłam do robót konkursowych, a zadania oddałam redakcyi; sądę, że pierwsze przedko będzie umieszczone. Zanim będę przelatywała nad Pilawą, chciałabym się więcej rzeczy dowiedzieć o niej od ciebie, więc pisz do mnie częściej.

Marysi i Halszce Łub. Na obadwa listy wasze odpisuję razem. Kiedym otworzyła kopertę, aż krzyknęłam z radości, poznawszy wasze pismo, które mi przypomina pismo waszej ciotki T. C. Chociaż wiedziałam, gdzie obecnie zamieszkałyście, tęskno mi było do wieści o was, pragnęłam wiedzieć jak przeszła podróż, i czy nie bardzo wam obco w tem dalekiem mieście. Gdzież-bym miała o was zapomnieć! przeciwnie, o swoich dalekich korespondentach, myślę może najczęściej, bo zdaje mi się, że myśl moja do nich leci i przynosi im jakby powiew z kraju. Znając jednak wasze dzielne charaktery, pewna jestem, że nie będziecie się nudzić, nawet w długie zimowe wieczory, a gdy Ryś przyjedzie kiedyś, to będzie dopiero radość. Nie zapominajcież o mnie, oczekiwac będę listów i kart z widokami Permu, żebym nabrała jakiegoś pojęcia o tem mieście, w którym teraz mieszkacie. N. 37 wysyłam.

Violi. Pochwałę się przed autorką „Róży bez kolców”, że jej „Atlanta” przysporzyła mi korespondentkę tak już „poważną” i może przysłała współpracowniczkę „Wieczorów”, z którą łączą nas wspólne upodobania i poglądy. Przysyłaj więc swoje prace literackie bez wahania ze wskazaniem nazwiska i adresu Łochozwianka w tym roku nie jeździła do Karlsbadu, lecz spędziła lato na wsi w domu.

Sprawdzałam w redakcyi, **Różyczko z Czernihowa**, co się stało z twojem wypracowaniem, i nie mogliśmy go odnaleźć. Musiało więc zginąć na poczcie. Nie wątpię, że twoja praca zasłużyłaby przynajmniej na pochwałę, bo piszesz listy bardzo dobrze i masz styl wyrobiony. Wieszysz ci godności chrestnej mateczki, ale pamiętaj, że ta godność, jak każda zresztą, pociąga za sobą pewne obowiązki, które spełniać należy.

Dziękuję za ładne karty i miłe słowa: **Antkowi, Polnej Myszce Halce z nad Teterowa, Róży bez kolców.** Odpowiedzi na kilka dłuższych listów muszę odłożyć do przyszłego numeru.

Wasza Jaskółka.

Ofiary. Genia Bortnowska przysłała 1 r. i palto dla biednych dzieci.